

*Pełna zapierających dech krajobrazów, wnikliwe studium lęków matki  
i brutalności, która czai się w ciemności niczym bestia*

Pilar Quintana, autorka powieści *Suka*

LORENA SALAZAR MASSO

RANA  
PEŁNA  
RYB

MO  
VA

LORENA SALAZAR MASSO

RANA  
PEŁNA  
RYB

Z HISZPAŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA

Katarzyna Sosnowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*Esta herida llena de peces*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Justyna Żebrowska  
Redakcja: Paulina Zyszczak Zyszczak.pl  
Korekta: Ewelina Pawlak  
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski  
Zdjęcie na okładce: © Oleksandra / Stock.Adobe.com  
DTP: Maciej Grycz

© Lorena Salazar Masso & Editorial Tránsito, 2021  
All rights reserved by and controlled through Editorial Tránsito, Madrid.  
This edition c/o SalmaiaLit, Literary Agency

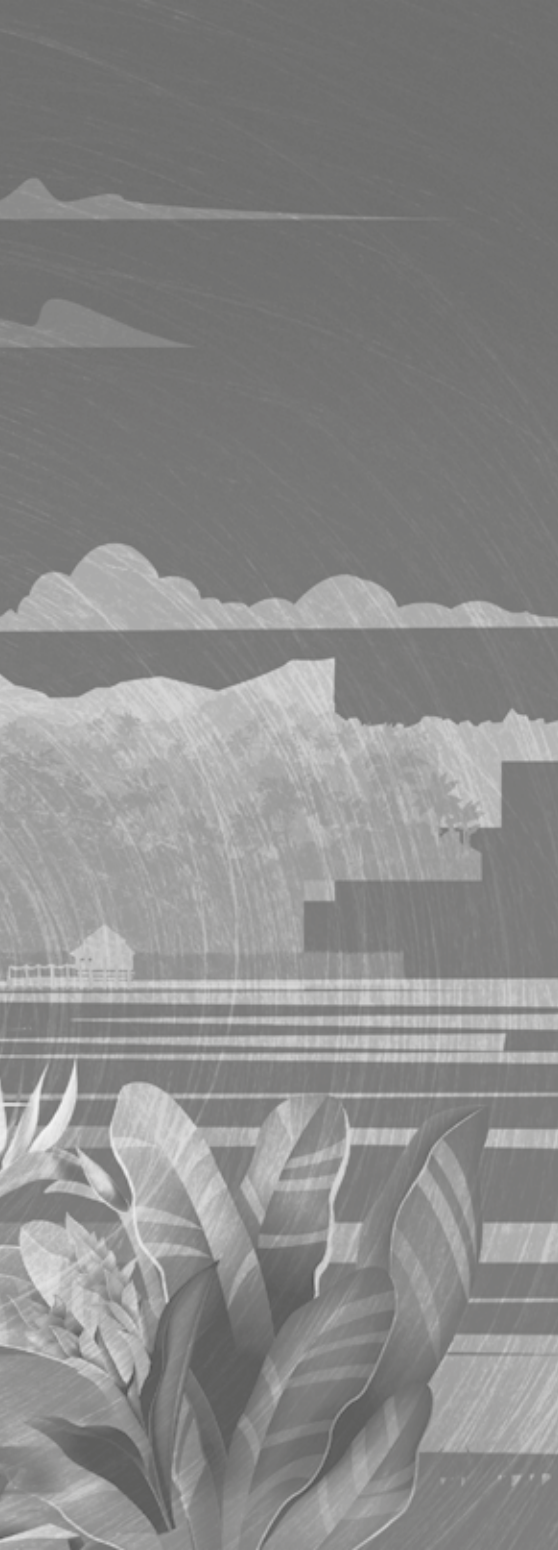
Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova  
an imprint of Wydawnictwo Kobiecte sp. z o.o.  
Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Sosnowska, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2022  
ISBN 978-83-67335-27-0

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | [www.WydawnictwoKobiecte.pl](http://www.WydawnictwoKobiecte.pl)





1

**D**ocieramy z chłopakiem na nabrzeże w Quibdó. Szukamy łodzi, żeby popłynąć do Bellavisty. My dwójce i materiałowy pingwin, którego chłopak zabrał z domu. Siadamy na betonowych stopniach schodzących ku rzece Atrato, kupuję mu mango z cytryną i solą od ulicznej sprzedawczyni. Czekamy. Poranki należą do ptaków; śpiewają one na drzewach rosnących nad brzegiem rzeki. Nawet najmłodsze z nich mają gniazda pełne nagich, bezbronych, głodnych piskląt.

– Ma, popatrz, ptaszyna – mówi.

– To nie ptaszyna, tylko kurzysko – odpowiadam z ustami pełnymi mango.

Kurzysko o czerwonej głowie odpoczywa na worku ze śmieciami. Nie mam ochoty tłumaczyć chłopakowi różnicy między tym posepnym zwierzęciem a ptaszkiem, a on wcale mnie o to nie pyta. Kura zrywa się do lotu, a nurt zabiera ze sobą torbę.

Miasto zaczyna się na prawym brzegu rzeki i rozciąga aż do selwy, która za tę inwazję i zawłaszczanie jej terenu każe

sobie płacić mokrymi od wilgoci, pokrytymi pleśnią ścianami. W Quibdó rzeka Atrato pachnie soloną rybą, pomarańczami i mokrym drewnem. Jest głęboka, otoczona starymi domiszczami, towarzyszą jej dzieci i kobiety piorące na brzegu. Tutaj to rzeka młodzieńcza; zaczyna się w Carmen del Atrato i kończy bieg w Morzu Karaibskim. Mieszkańcy z niej żyją: łowią ryby, pływają na niej ze śpiewem na ustach, modlą się do niej. Szerokie ramię wyrastające z czarnej ziemi.

Głębiej w selwie wody Atrato nie odbijają tego, co się nad nimi pochyła, tak jak robi to Amazonka; nie przypominają zielonej Cauki ani wściekle spienionej Magdaleny przecinającej kraj. Czasami są brązowe, czasami przybierają barwę cynamonu, pachną jak album rodzinny, którego od lat nikt nie otwierał.

Na pasażerów i na worki z żywnością czekają trzy dłuższe drewniane łodzie i dwie mniejsze, zwane pangami: szybkie, w brudnobiałym kolorze. Sternicy przygotowują się do rejsu. Każdego ranka w drodze do szkoły chłopak i ja bawimy się w budzenie miasteczka: przemierzamy ulicę Alameda, gdy znajdujące się przy niej sklepy otwierają swoje podwoje; pozdrawiamy rzeźnika, głaskamy kurczaczki u weterynarza, kątem oka patrzymy na pijaków śpiących na barowych stołach – chłopak mówi, że to manekiny – tragarze wnoszą worki z ryżem. W domu dziwek balkon jest zamknięty – śpią do późna – między ulicą a chodnikiem stoją w rządku wózki z bananami i kosze cytryn; rozczochrana baba, którą od jakiegoś czasu rozpoznaję, krzyczy do nas, że jesteście spóźnieni. Przyspieszamy kroku.

Miasto budzi się z nadzieją, z jaką dziecko po raz pierwszy otwiera książkę. Nadzieja ta zaczyna niknąć w momencie,

gdy słońce osiąga najwyższy punkt na niebie i rusza w dół, ku selwie. Popołudniowy upał w Quibdó ciąży, słońce pali, dusi; błyszczący na czołach, aż około czwartej, piątej pęka jak balon. Nie pada – niebo po prostu spływa na sklepy z wystawionymi rano towarami.

Nikt nie wie, dokąd się wybieram z chłopakiem, ludzie mijają nas jak gdyby nigdy nic. Kilka jeepów Willys czeka na kiście zielonych bananów, które pangi przywieżą z osad – dostarczą je nawet do najmniejszych sklepów. Jedna z łodzi – najmniejsza z trzech – wypełnia się trzema Metysami i dwoma workami. Przebywają rzekę, wiosłując na stojąco, silni i radośni, w krótkich spodenkach w kolorach: pomarańczowym, zielonym i błękitnym. Na nabrzeżu roi się już od pasażerów, szykujemy się, żeby wsiąść na najtańszą łódź. Chłopak nie bardzo wie, dokąd jedziemy – powiedziałam mu, że na wycieczkę – a ja kryję nostalgię na myśl o powrocie do miejsca, które było kiedyś moim domem, a w którym nie ma śladów mojego dzieciństwa. Ale są ślady dzieciństwa chłopaka.

Łódź wypływa za pół godziny. Sterniczka o skórze czarnej jak kakao ma na sobie zieloną suknię z indiańskimi wzorami – snami, wizjami, jakąś przepowiednią – a na stopach japonki. Pozdrowia nas z łodzi i krzyczy, żebyśmy wrzucili bagaż na pokład, to umieści go w schowku. Patrę na chłopaka – tę pchelkę uczepioną mojej sukienki. Domyślam się, że się boi. Proponuję mu zabawę: policzymy do trzech i rzucimy nasze rzeczy na pokład. Raz, dwa, trzy: ubrania na kilka dni, pidżama i szczoteczki do zębów wylatują w małej walizce. Sterniczka chowa ją przy silniku i ponownie zwraca się w naszą stronę. Rzucam moją torebkę i pingwina.

– A ja co mam rzucić, ma?

Sterniczka patrzy na chłopaka i mówi, żeby skakał, że go złapie, bez obaw. Całuję wisiorek z cytryny na mojej szyi. Chłopak patrzy na mnie; teraz wie, że może skoczyć. Pewnie wisiorek jest znakiem, który wymyślił sobie tej nocy.

– Ma, gdy trzymasz w zębach cytrynę, zawsze na wszystko się zgadzasz.

Dzieci tworzą twarde zasady. Podporządkowuję się jego prawom. W zamian proszę go tylko, żeby odrobił lekcje, zanim pójdzie się bawić. Przygotowuję go na życie pełne transakcji wymiennych. Uczymy się od siebie nawzajem. Ja go wprawiam w tym, żeby być, a on pomaga mi przestać istnieć, pokazuje mi, jak żyć wedle nowych reguł, zgodnie ze znakami, których nikt nie rozumie. Jest ze mną. Nie urodziłam go, ale jestem jego mamą. Powtarzam sobie to każdej nocy, mamroczę jak modlitwę. Teraz chcę go poprosić, żeby nie skakał, żebyśmy wrócili do domu i włączyli telewizor, bo tego potrzebuje. Uśmiecham się, jego prawa dłoń puszcza moją sukienkę, teraz całą wymiętą.

– I raz, i dwa, i... trzy! – krzyczy i skacze w objęcia sterniczki. – Twoja kolej, ma.

Wskoczyć na łódź czy do rzeki? Chłopak myśli, że zaraz do niego dołączę. Jego głos jest wesoły, odświeżony; to zabawa. Mogę też rzucić się w odmęty. Zsuwam się, udając, że to skok, i chłopak obejmuje mnie jak wtedy, kiedy wraca do domu ze szkoły. Wygładzam mu koszulkę i siadamy na drewnianych ławkach, które wskazuje nam sterniczka. Są białe, nie mają oparc. Gdybyśmy wsiedli do małego samolotu, powiedziałabym, że przydzielono nam siedzenia 2B i 2C. Sterniczka kieruje łodzią z tyłu. Inaczej niż podczas podróży



samolotem ani ona, ani jej pomocnik – młodzieniec, który wszedł właśnie na pokład – nie dziwią się, że moje dziecko jest czarne, a ja biała.

Mięso, ubrania, sól i części ramy łóżka; świece, ołówki, owoce i trzy klatki z żywymi kurczakami; kukurydza, pościel, garnki i podręczniki do podstawówki ruszają w stronę Bellavisty, w tej właśnie kolejności. Walizki pełne świec, mleka w proszku i pieluch. Ubrania wykorzystuje się ponownie. Sukienka może zmienić się w spódniczkę, chustkę, poduszkę, ścierkę kuchenną. Najważniejsze jest to, co służy do jedzenia, spania i ewentualnie do nauki.

Łódź jest niepomalowana. Wielki kawał oheblowanego drewna mangrowego, które nie potrzebuje nowego koloru. Nasze siedzenia są nieokryte daszkiem, nie boję się wody z nieba, mogą moknąć w trakcie burzy. Wystarczy, by chłopak mógł się schronić, może między kobietami w ostatnim rzędzie; tylko nad dwiema ławkami wisi czarna plandeka z grubego plastiku.

Pomocnik sterniczki rozdaje kamizelki ratunkowe. Czuję od nich źle wysuszonym ubraniem. Biorę nasze z udawaną wdzięcznością. Siedząca obok mnie kobieta, którą sterniczka nazwała Carmen Emilią, nakłada swoją z narzekaniem: „nigdy ich nie piorą”. Chłopak za to czuje się jak bohater. Patrzy na wszystkich z góry. Upewniam się, że dobrze nałożył kamizelkę i że może oddychać. Pyta mnie, czy może w niej pójść do szkoły. Odpowiadam, że nie, że gdy dotrzemy do Bellavisty, będziemy musieli ją oddać. Przewraca oczami i spogląda w stronę selwy dumny, z rękami założonymi na piersi.

Do naszej łodzi wskoczyło dziesięć osób. Na tylnej ławce siedzą dwie bliźniaczki z warkoczami do pasa. Rossy i Mary – przedstawiają się. Rossy prosi o inną kamizelkę, bo ta, którą dostała, ma zepsute zapięcie. Pomocnik sterniczki przynosi jej dwie do wyboru: zieloną i czerwoną. Rossy wybiera czerwoną i uśmiecha się do młodego mężczyzny, a on pomaga jej zapiąć zamek i również z uśmiechem wraca na tył łodzi, gdzie zakłada zieloną kamizelkę. Sterniczka obserwuje go kątem oka.

Czekamy na pasażera, który żegna się z żoną. A może z matką. Kobieta błogosławi go, poprawia mu kołnierzyk, wciska do jego ręki zwinięte banknoty. Całuje go w usta. To ona prasuje mu koszulę. „Skromne, ale niepomięte”. Co powiedzą, jeśli nie będzie dobrze ubrany? Że go za mało kocha.

Sterniczka odpala silniki, machające na nabrzeżu dłonie stają się coraz mniejsze, oddalamy się od muzyki ze stoisk i słyszymy już tylko hałas łodzi.

Z rzeki widzę, co podtrzymuje Quibdó: historia gniewnych fal, te ślady, które woda zostawia na ziemi i w wale ochronnym. Kobiety w oknach, wścibskie baby, które już zamiotły obejście, zrobiły mężom śniadanie i mogą zająć się gapieniem na życie miasta. Szczęściary. Kobiety, które mieszkają nad rzeką, w domach z ogromnymi podwórkami, z bugenwillami zwisającymi z sufitu, dziećmi płaczącymi w kuchni. Dbają o rzekę, sądzą, że się do niej modlą. Zostawiamy za sobą cienie wielkich majtek wywieszonych na podwórkach, plac przed plebanią z odpoczywającymi na nim błogosławionymi białymi szatami, w których odprawiona zostanie dzisiejsza msza święta.

Stopy sterniczki – dwa napuchnięte pniaki z bliznami po ugryzieniach komarów i z pomalowanymi na pomarańczowo paznokciami – przytrzymują się japoniek. Rozpoznałyby ją po kolorze paznokci. Jeśli łódź zatonie, będą one wskazówką: „poświeć tutaj – powiedzą – to sterniczka”. Złączam własne stopy i stawiam na nich torebkę, wstyd ogarnia me ciało niczym gorączka o północy. Nigdy nie nauczyłam się chodzić w japonkach. Wielkie babsko sprawdza silniki, gęstość chmur i zawartość swoich kieszeni, w których z pewnością trzyma pieniądze i jedzenie.

Chłopak zasypia kilka minut po tym, jak ruszamy. To skutek uboczny tabletki na chorobę morską oraz kołysania. We śnie bardzo się poci. Wachluję go, ocieram mu czoło i najmniejszym palcem przeczesuję jego brwi. Nie przelykam śliny, nie mrugam, poruszam się wewnątrz siebie. Łza wypływa mi z prawego oka i spada prosto na policzek chłopaka. Zsuwa się, moczy mu usta i znika.

– Dziecko połknęło łzę – mówi siedząca obok mnie kobieta, Carmen Emilia.

– No cóż, nigdy nie karmiłam go piersią – odpowiadam.

Carmen Emilia udaje, że zajmuje się czymś innym, patrzy na niebo zasnuwane chmurami. Może w myślach obraca imię jakiegoś świętego, którego wizerunek nosi w torebce. Trzyma się go jak modlitwy. Kwiaty na jej wyblakłej spódnicy, biała bluzka, która rozpadnie się za kilka prań i nie kryje stanika kremowej barwy, takiej jak moja skóra. Kobieta również się poci i jest tak samo czarna jak mój synek. Jej piersi wykarmiłyby całą szkołę. Dorastałam wśród takich jak ona, kobiet, którym podczas podróży rzeką wiatr nigdy nie niszczy fryzury.

Deszcz. Chmury buntują się przeciwko słońcu i spadają na nas. To nie ulewa, nie przemakamy; tylko nieprzyjemne uczucie pod uderzeniami kropli. Deszcz nawet nie chłodzi. Jest ciepły jak krople potu chłopaka. Szepczę do dziecka, żeby się przeniosło i schroniło przed zmoknięciem, ale znów czepia mi się sukienki. Opiera się o moje nogi; jest w tym wieku, w którym dzieci są za duże, żeby trzymać je na kolanach, ale za małe na własne siedzenie; a może tylko ja tak uważam. Wyciągam z torebki przezroczysty plastikowy płaszcz, okrywam nim chłopaka. Sterniczka zwalnia, a osoby siedzące pod gołym niebem otwierają swoje czarne, czerwone i fioletowe parasole. Wielkie, takie, jakich używa się na prowincji. Ja nie mam swojego, ale dziecko jest nakryte. Carmen Emilia chce pomóc, podsuwa w moją stronę połowę własnego parasola. Krople deszczu spadają mi na włosy, ramiona i białą sukienkę w niebieskie paski. Mówię sąsiadce, że lubię deszcz, dziękuję, ale chcę poczuć się tak, jakbym pływała w ubraniu. Śmieje się, odsłania zęby tak samo białe jak zęby mojego syna. Poddaje się. Zamyka parasol i mówi, że potowarzyszy mi w moknięciu.

Wiatr spycha chmury w stronę selwy, przestaje padać. Nie widzę już domów, jedne drzewa zastępują drugie, zielone plamy wyznaczające brzeg rzeki. Chłopak się kręci, patrzy na mnie czarnymi oczami. Płaszcz przeciwdeszczowy odsłania mu nos – płaski, okrągły, mały. Chłopak wciąga powietrze i szeptem wyrzuca z siebie pytanie:

– Już docieramy?

– Nie, dopiero co wyruszyliśmy.

Carmen Emilia zamknęła oczy. Nie wiem, czy się modli, czy śpi. Jak osoba dorosła jest w stanie w ogóle zasnąć przy

takim hałasie? Wiatr, fragmenty zdań, tłukąca w drewno woda i śpiewająca na cały głos sterniczka – fałszuje, również przymknęła oczy. Jej pieśń opowiada o bezwstydnicy, która kradnie cudzych mężów.

Zdejmuję z chłopaka płaszcz, składam na pół i rozwieszam przed naszym siedzeniem. Chmury zniknęły, słońce pada bezpośrednio na nas, suszy nasze ubrania. Zapachy kamizelki i mojego ciała łączą się w jeden: woń mokrego psa. Tak samo pachnie chłopak. Jemu to nie przeszkadza, skupia się na obserwowaniu Carmen Emilii. Macha rękami, żeby sprawdzić, czy kobieta śpi, czy udaje, tak jak on wtedy, gdy mamy gości. Ona nie zwraca uwagi na jego wysiłki.

Rzeka przysypia, płyniemy na grzbiecie tygrysa, który w każdej chwili może mnie całą pożreć, mnie i chłopaka. Ile razy w dzieciństwie malowałam tę rzekę? Do znużenia powtarzałam, że charakteryzuje ją jeden z największych przepływów na świecie. Ależ byłam z niej dumna. Z tej głębokiej, ważnej, niebezpiecznej rzeki. Każda pora deszczowa w miasteczku albo u źródeł sprawiała, że woda wciskała się do kuchni, zatapiała szkołę. Każdego tygodnia przynajmniej raz wchodziłam do klasy w mokrych butach. Zakonnice kazały nam je ściągać i ustawiały do suszenia za lodówkami w szkolnej stołówce, tam gdzie trzymały napoje gazowane. Gdy wracaliśmy do domu, mamy krzyczały, że znowu zabrudziłyśmy podkolanówki.

Chłopak zasypia, a Carmen Emilia się budzi. Otwiera usta niczym niedźwiedzica, przeciąga się, czesze. Wyciąga z torby banana i proponuje mi drugiego.

– Ile ma lat?

– Co? – pytam.

– Dziecko. Śpisz czy co? – odpowiada, przeżuując.

Lubię smak owoców tuż przed tym, jak zgniją. Są poplamione, pomarszczone, poobijane, nadgryzione przez robaki. Gładki owoc nie wie tyle, co taki, który był świadkiem upływu czasu. Carmen Emilia mówi mi, że skoro już się poznałyśmy, mogę opowiedzieć jej o chłopaku. Ludzie zawsze najpierw o coś pytają, żeby mieć pretekst do wyrzucenia z siebie własnych zmanipulowanych historii, które sobie roją przez lata. Nie znam jej, ale przed nami długa rzeka. Wzdycham, wyciągam nogi i odpowiadam na wszystkie jej pytania.

– Odkąd do mnie trafił, spędziłam więcej nocy przy jego łóżku niż we własnym, obserwując, jak oddycha, jak wypuszcza ciepłe niczym u szczeniaka powietrze przez nosek; to mi wystarczało, żeby pracować i dać mu wszystko, o co poprosił, dać mu to, czego domyślałam się ze spojrzenia jego czarnych oczu. Pewnego ranka, po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji obok jego łóżka, obudził mnie płacz. „Dlaczego jestem czarny, a ty biała?”, spytał. Miał wtedy cztery lata, a ja nie byłam gotowa na to pytanie. Gdyby uformował się we mnie, gdybym to ja go urodziła, nie byłoby wcale łatwiej na nie odpowiedzieć. Chyba wyjaśniłabym mu, że ludzie na świecie mają różne kolory i że się między sobą mieszają, z czego powstają nowe barwy. Że jego ojciec był czarny, a ja biała i że wziął od nas to, co najlepsze: skórę taty, oczy i sposób poruszania się mamy. Ale on nie ma taty i to nie ja go urodziłam.

Carmen Emilia patrzy na mnie uważnie, umie słuchać. Zabiera mi skórę banana i ciska ją w powietrze. Nie wiem,

czy mi wierzy. Patrzy przez chwilę na rzekę, która jest tej samej kawowej barwy co jej skóra, tak samo jak drewno łodzi, jak chłopak. Po chwili milczenia mówię dalej.

– Co robi ktoś, kto dorasta bez matki? Opiekują się nim: wiatr, nauczycielka, sprzedawczyni ze sklepu na rogu? Kto uczy go modlić się, bać się i przestać wymyślać historie? Kto mu mówi: „dziecko, tego nie wolno!”? Kto mu obcina skrzydła i kto mu je przyszywa? Kto stawia jego stopy twarde na ziemi? Nie mieć matki czasami oznacza to samo, co ją mieć. Matka jest czymś, co boli. Jest raną i blizną. Dla dziecka mama to osoba, która pyta je, czy chce mleka do czekolady, która strofuje je za bieganie boso po domu, która pierwsza próbuje zupy, parzy sobie język i czeka, aż się nieco ostudzi. Mama to osoba, która jest.

Tamtego dnia nie posłałam go do szkoły. Na przydomowym podwórku, obok drzewa cytrynowego, postawiłam drewniany stół, przy którym wówczas pracowałam. Przyniosłam różnokolorowe kredki, kartki i posadziłam przy nich chłopaka. Zanim zdradziłam mu prawdę, poprosiłam, żeby narysował linie we wszystkich kolorach. Użył za dużo zielonego, dodał fioletowe i niebieskie kółka; wypełnił kartkę barwami: pomarańczową, żółtą, różową, czarną, czerwoną, kremową i kawową. Złamał błękitną kredkę. Pokazałam mu pomalowaną kartkę i wyjaśniłam, że taki właśnie jest świat: pełen kolorów, i że ludzie także są kolorowi, bo należą do przyrody.

– Jestem drzewem? – spytał.

– Drzewem z oczami, nogami i językiem – odparłam.

– A ty czym jesteś? – Uśmiechnął się.

– A jak myślisz? – Wstałam, żeby zobaczyć mnie całą.



# HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



[www.mova.com.pl](http://www.mova.com.pl)



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!